

Przegląd amerykański (XVIII)

Imperium światowe czy supermocarstwo wśród maluczkich, ale nie pozbawionych znaczenia

Jacek Koronacki

Bezprecedensowa potęga militarna Ameryki przydaje tamtejszym dysputom nad pożądanymi kierunkami jej polityki zagranicznej niezwykłego znaczenia i specyficznego kolorytu – skutki przyjmowanych przez Amerykanów rozwiązań są odczuwalne w każdym zakątku globu i, co więcej, we wpływowych kręgach politycznych USA żywa jest tendencja budowy imperium ogólnoswiatowego. Warto tedy ten odcinek przeglądu poświęcić krótkiemu zdaniu sprawy z owych dyskusji. W omówieniu ograniczę się do przytoczenia głosów z jednego tylko czasopisma, „The National Interest”, za to znaczącego i dającego reprezentatywny przegląd amerykańskiej myśli politycznej.¹

Kurth: imperialny charakter migracji do i z USA

James Kurth, profesor nauk politycznych², tak zaczyna swój esej w kwartalniku „The National Interest” (nr. 71, wiosna 2003): *Pierwsza dekada XXI wieku, podobnie jak pierwsza dekada wieku XX, jest wiekiem imperialnym. Oczywiście, 100 lat temu było wiele imperiów. [...] Dziś jest tylko jedno – globalne imperium amerykańskie, które nie jest ani narodowe, ani wielonarodowe w tradycyjnym sensie, ale które można lepiej opisać jako wielokulturowe i ponadnarodowe.* Profesor Kurth nie precyzuje, jak rozumie pojęcie imperium, pozostając przy wyjaśnieniu pośrednim, wynikającym z lektury jego eseju. Imperia tradycyjne to imperia, które sięgnęły za morza, jak Wielka Brytania, Francja i Portugalia, oraz imperia kontynentalne – Habsburgów, Romanowów i Osman. *Nowe i historycznie biorąc dziwne imperium amerykańskie jest kontekstem i areną, na której dzieją się wszystkie ważne, globalne zdarzenia naszego czasu.* Osią, wokół której rozwija się tekst eseju, jest problem imperialnej imigracji i emigracji, czyli imigracji do serca imperium oraz emigracji na jego peryferie.

Na pierwszy rzut oka – pisze Kurth – może się wydać, że europejskie doświadczenia z imperiami i imigracją nie mają wiele wspólnego z doświadczeniami amerykańskimi. Co więcej, Amerykanie po dziś dzień nie widzą swego kraju jako imperium. Ale, jakkolwiek prawdą jest, że amerykańskie posiadłości zagraniczne (jak np. Filipiny i Portoryko po wojnie hiszpańsko-amerykańskiej, Amerykańska Samoa, Wyspy Dziewicze, Wyspy Marshalla, Guam i strefa Kanału Panamskiego) nigdy nie miały nawet w przybliżeniu tego znaczenia, jakie dla imperiów europejskich miały ich kolonie, i jakkolwiek jest prawdą, że kraje takie jak Filipiny czy Portoryko stały się członkami wspólnoty („commonwealth”) z otwartą drogą do państwowej suwerenności, to jednak de facto wszystkie odgrywały tę samą rolę co wspomniane kolonie imperiów europejskich. Co

więcej, tak jak imperia europejskie kontrolowały kraje, które zachowały wiele elementów suwerenności, tak USA kontrolowały (i po części nadal kontrolują) kraje Ameryki Środkowej. Przy tym, choć Amerykanie tego tak nie widzieli, Europejczycy mieli prawo patrzeć na marksistowską partyzantkę w tych regionach jak na ruchy dekolonizacyjne (jakby nie były pomyłone, czy też zwycięstwo Fidela Castro na Kubie nie było tej Kuby faktyczną klęską).

Warte porównania, pisze prof. Kurth, są fale imigracji z peryferii do serca imperium w przypadku imperiów europejskich i imperium amerykańskiego. W pierwszym przypadku, napływ imigrantów do Europy rozpoczął się po likwidacji samych imperiów, w latach 60-tych. Nie przypadkiem np. imigranci z Indii i Pakistanu przybyli do Wielkiej Brytanii, zaś takowi z Algierii, Maroka, Tunezji i francuskiej Afryki Zachodniej do Francji. Druga imigracja, ta do USA, gdzie podobne przyczyny złożyły się na potrzebę przyjęcia fali nowych obywateli, zaczęła się mniej więcej w tym samym czasie, bo w roku 1965³. I była to ewidentnie imigracja z krajów specyficznie związanych z USA, jak zatem powie prof. Kurth, z peryferiów imperium amerykańskiego. Przede wszystkim przybywali Meksykanie, Portorykańczycy, obywatele innych krajów Ameryki Środkowej, Filipińczycy, a także obywatele krajów, na które USA rozciągnęły swoje wpływy po II wojnie światowej – Koreańczycy z Korei Południowej, Chińczycy z Tajwanu oraz przybysze z Indochin.

Skąd wziął się, według prof. Kurtha, ów popyt na imigrantów w latach sześćdziesiątych, i to zarówno w Europie, jak i w USA? Mówiąc krótko: ekonomiczny rozwój USA otworzył przed rzeszami rodzin robotniczych drogę do klasy średniej, a przynajmniej do przejęcia pewnych aspektów stylu życia klasy średniej. Jeśli dodać do tego spadający przyrost naturalny, w Ameryce zabrakło rąk do prac prostych, wymagających najniższych kwalifikacji i najniżej opłacanych. W Europie na pewno spadek przyrostu naturalnego, a bodaj i awans do klasy średniej, wystąpił z jeszcze większą siłą (nie ma tu znaczenia, że mechanizmy rozwoju ekonomicznego były po obu stronach Atlantyku inne – Europa zaczynała od wchłonięcia pomocy uzyskanej dzięki planowi Marshalla i zdania się na amerykański parasol ochronny, by następnie przystąpić do rozwinięcia na wielką skalę opiekuńczej polityki państwa). Czynnikiem, który znakomicie ułatwił napływ ludności z dawnych kolonii do Europy oraz nie-Europejczyków do USA było zapanowanie na całym Zachodzie ideologii postnarodowej, głoszącej pochwałę wielokulturowości⁴.

Profesor Kurth wiele miejsca poświęca opisaniu, jak istotny wpływ miała wspomniana ideologia na osłabienie, a może zniszczenie narodowej tkanki mocarstw europejskich. Uważa, że tkance tej – tak we Francji i Niemczech, jak w Wielkiej Brytanii i Holandii – najbardziej zagroziła mniejszość muzułmańska. Dziś są to już raczej kraje dwunarodowe niż narodowe, jutro – przez Brukselę – może okażą się postnarodowe. Ameryka, gdy o jej wynarodowienie chodzi, może się pomimo 11 września 2001 r. muzułmanami nie martwić. Jest ich w USA zbyt mało, poza tym zaś, na zbyt ni wzrost ich roli nie pozwoli, uważa Kurth, mniejszość żydowska. Ale i Ameryka, choć na inny sposób, przestała być państwem narodowym. Niewykluczone, że już niedługo USA zamieszkiwać będą nie Amerykanie, a „Ameryksykanie”, pisze Kurth. W każdym razie jednak to, że większość

imigrantów do USA stanowią Latynosi, a więc chrześcijanie, jest dla Ameryki – wprawdzie coraz bardziej zsekularyzowanej ale przecież jeszcze chrześcijańskiej – zdarzeniem szczęśliwym i odróżniającym ją od Europy.

Porównuje dalej prof. Kurth emigrację z metropolii i serca imperium na jego peryferie. Inaczej sprawa ta ma się w przypadku Europy i USA. Pomijając tę pierwszą, słusznie zauważa, że dotąd wysłannikami Ameryki na tereny podporządkowane byli przede wszystkim jedynie żołnierze stacjonujący w rozsianych po świecie bazach wojskowych. W krajach objętych wpływami USA za mało jest dotąd Amerykanów wśród kadry inżynieryjno-technicznej, gospodarczej i administracyjnej. Ale taki stan rzeczy się zmienia, twierdzi Kurth, także dzięki coraz większej liczbie młodzieży pochodzenia latynoskiego, europejskiego i zwłaszcza wschodnio-azjatyckiego, która studiuje w USA, by potem wrócić do pracy w swych ojczyznach. W ten sposób, pisze Kurth, *Ameryka stara się dokonywać transplantacji mózgow, umysłowość imperialną zaszczipiając w kolonizowanym ciele*. Wypada się zgodzić z ostatnim zdaniem, ale traktowanie napływu nieamerykańskiej młodzieży na uczelnie USA i następnie jej odpływu na peryferie jest zagadnieniem bardziej złożonym, niż to sugeruje Kurth (wróć do tego problemu później).

Podsumowując: Pomijając ostatni problem, prof. Kurth przekonująco przedstawia emigrację do i z USA jako (w miarę) typową dla imperiów. A jaki wyciąga wniosek ostateczny? Oto on: *Imperium amerykańskie – jako imperium wieku informacji – jest zbudowane na ideach w stopniu jeszcze większym niż imperia przeszłości. Są to idee [...], które zawładnęły światem – pokój, demokracja i wolny rynek*. Kurth jest pewien, że tak długo jak Ameryce będzie się udawało wcielać te idee na świecie, tak długo imperium będzie kwitło. Klęska nastąpi wtedy tylko, gdy imperium nie zdoła utrzymać pokoju na całym świecie, albo gdy gdzieś w jakimś zakątku świata zapanuje jakiś straszliwy dyktator, albo wreszcie gdy nastąpi globalna depresja ekonomiczna. I stąd, kończy Kurth, waga wojny z terroryzmem i konieczność odniesienia nad nim absolutnego zwycięstwa.

Jak, wychodząc od zgoła rzeczowych obserwacji dotyczących dynamiki zjawisk migracyjnych, doszedł prof. Kurth do swoich wniosków – które kiedyś jakbym czytał w enuncjacjach ideologów komunistycznych -- jest jego tajemnicą, a ściślej tajemnicą jego postępowego ducha.

Krauthammer nie ma wątpliwości, Kagan subtelniejszy

Charles Krauthammer, znany komentator „Washington Post”, eseista tygodnika „Time”, laureat nagrody Pulitzera, już w 1990 roku ogłosił w „Foreign Affairs” artykuł pod tytułem *Chwila świata monocentrycznego*⁵. Teza, wówczas nie tylko bardzo śmiała, ale i co najmniej przedwczesna, dziś musi być uznana za bliższą prawdy niż się wielu zdawało, tak oczywista okazała się przewaga militarna Ameryki nad każdym dającym się pomyśleć przymierzem przeciw niej skierowanym. Potęga wojskowa USA objawiała się ostatnio z coraz większą siłą najpierw na Bałkanach, potem w Afganistanie i ostatnio w Iraku.

Czy jednak niezrównana siła wojsk równa się możliwości stworzenia trwałego imperium panującego nad całym światem? Krauthammer, jak wielu innych neokonserwatystów, jest pewien, że tak. W numerze „The National Interest” z przełomu roku 2002 i 2003 (nr 70, zima 2002/2003) triumfalnie wrócił do swej starej tezy, by ją wzmocnić i napisać, że w istocie możemy dziś mieć raczej do czynienia z *epoką* niż chwilą monocentryzmu.

Krauthammer ma oczywiście rację, gdy pisze, że amerykańska dominacja nad światem – całym światem -- nie ma precedensu w historii. *Amerykańskie wydatki na zbrojenia przekraczają dziś wydatki następných dwudziestu krajów razem wziętych. Moc amerykańskiej marynarki wojennej, lotnictwa wojskowego, środków opanowania kosmosu nie mają konkurencji. Amerykańskiej technologii nie sposób się oprzeć. Ameryka dominuje pod każdym względem: militarnym, ekonomicznym, technicznym, dyplomatycznym, kulturalnym, nawet językowym, z całą plejadą krajów, które mimo prób nie mają szans na powstrzymanie internetowego pochodu angielszczyzny rodem z MTV.* (Zaiste, nawet „kultura” MTV zaczyna panować nad starym światem.)

Analizując sytuację USA na progu roku 2003 Krauthammer zaczyna od trafnej konstatacji, że od czasu, gdy publikował swój pierwszy manifest na rzecz monocentryzmu, problem krajów „zbójcekich” i jednocześnie ich starań o wyprodukowanie broni masowej zagłady uległ znacznemu spotęgowaniu. Nie zauważa co prawda związku między tym faktem a polityką USA. Przyznaje, że państwa zbójcekie istniały zawsze i od pół wieku ktoś (poza USA) posiada broń masowej zagłady, ale słusznie stwierdza, że po raz pierwszy nastąpiła koniunkcja owych zdarzeń (inna sprawa, iż należałoby tu raczej przywołać przykład Korei Północnej, podczas gdy Krauthammer miał głównie na myśli Irak, inwazji na który był gorącym zwolennikiem). Neokonserwatywny komentator uznaje zagrożenie ze strony państw zbójcekich za niesłychanie poważne, prawie śmiertelne. Następnie łączy z tym niebezpieczeństwem, a więc z państwami zbójceкими, zagrożenie terroryzmem, i to terroryzmem z terrorystami dysponującymi np. bronią atomową. Zabieg mocno naciągany, ale pozwala Krauthammerowi poprzeć jako właściwie oczywiste i naturalne kroki rzeczywiście podejmowane przez Amerykę w ciągu ostatnich dwóch lat: ultimatum pod adresem każdego państwa wspierającego terroryzm – albo z nami, albo przeciw nam; możliwość amerykańskiego ataku uprzedzającego na każde państwo kontynuujące starania o wyprodukowanie broni masowej zagłady; dokonanie zmiany reżimu w każdym takim państwie.

Pisze Krauthammer: *Razem wzięte, [kroki te] sprowadzają się do stwierdzenia bezprecedensowej swobody działania przez Amerykę. Są ostatecznym potwierdzeniem nowego amerykańskiego unilateralizmu.*

Krauthammer przyznaje, że taki unilateralizm spotkał się w USA z krytyką, a zatem zrodził *pierwszy kryzys monocentryzmu. Kryzys ten koncentruje się wokół kwestii zasadniczej w monocentrycznym wieku – kto ma określać cele hegemonu?* I nie ma tu publicysta wątpliwości. Jest po stronie sekretarza obrony Rumsfelda, który przy okazji wojny afgańskiej oraz tzw. wojny z terroryzmem opowiedział się za tym, by *misja*

określała koalicję. Wyjaśnia Krauthammer: *Bierzemy przyjaciół, gdzie możemy ich znaleźć, ale po to tylko, by wspomogli nas w osiągnięciu podejmowanej misji. Najpierw jest misja i to my o niej decydujemy.*

Byłoby czymś dziwnym, dodaje, gdyby hegemon miał godzić się, aby „koalicja definiowała misję”. Takie działanie w istocie implikowałoby zdaniem Krauthammera paraliż Ameryki i odebranie jej możliwości decydowania o swoim dobru. A paraliżowi temu, dodaje, na imię multilateralizm.

Krauthammer nie polemizuje z dojrzałymi przeciwnikami unilateralizmu realizowanego przez monocentrycznego hegemonia. Na przykład jednym tylko zdaniem wspomina o Huntingtona tezie o świecie jedno-wielocentrycznym, a więc świecie z jednym tylko supermocarstwem światowym, ale z kilkoma mocarstwami regionalnymi⁶. Za to skupia się – wygodnie dla siebie – na krytyce multilateralizmu liberalnego, który jest w istocie internacjonalizmem zmierzającym do zanegowania tożsamości narodowych w imię totalnego globalizmu. Dodaje do tego krytykę wielocentrycznej Europy XIX i XX wieku, podkreślając, że ta zdecydowała się po dwóch wojnach światowych zamienić wielocentryczność i utrzymywanie chwiejnej równowagi sił na Unię Europejską.

Co napisawszy, kontynuuje Krauthammer: *Mniej daje się powiedzieć o losie monocentryzmu, bowiem jest zbyt młody. Ale mamy historię ostatniej dekady, naszego jedyne doświadczenia z nowoczesnym monocentryzmem, dekady niezwyklej stabilności stosunków między wszystkimi ważniejszymi państwami. I chociaż głupotą byłoby ekstrapolować na podstawie zaledwie dziesięcioletniego doświadczenia, to jednak doświadczenie to poddaje w wątpliwość tezę o immanentnej niestabilności monocentryzmu, lub też niemożliwości jego trwania w demokracji masowej. (Niżej podpisany nie może się oprzeć wrażeniu, że uwierzenie w drugą połowę ostatniego zdania byłoby taką samą głupotą, jak wymieniona w połowie pierwszej.)*

I dalej rozwodzi się Krauthammer nad nowym unilateralizmem, który *określa amerykańskie interesy daleko szerzej niżli interesy ograniczone do wąsko pojmowanej samoobrony. W szczególności, nowy unilateralizm obejmuje inne dwa wielkie zadania, obydwie globalne – poszerzanie strefy pokoju przez promocję demokracji oraz utrzymywanie pokoju przez działanie w roli czynnika równowagi ostatniej instancji. [...] Krytyków zadziwia paradoks działania unilateralnego dla celów globalnych. [...] Może się zdarzyć, że zostaniemy osamotnieni w tym działaniu, ale będziemy wówczas działać nadal, w imię interesu globalnego, szerszego niż wąski interes Ameryki [...]. Co jest istotą tego szerszego interesu? Najogólniej rzecz ujmując, jest nią utrzymanie stabilnego, otwartego i funkcjonującego systemu monocentrycznego.*

Przynajmniej dwa ostatnie zdania mają jakiś sens. Zabawne tylko jest w kontekście powyższych tez zdziwienie Krauthammera wynikami różnych ankiet prowadzonych w Europie i poza nią, które wskazywały prezydenta Busha jako większe zagrożenie dla pokoju niż Saddam Husajn (Krauthammer przywołał ankietę przeprowadzoną przez stację Sky News w wrześniu 2002).

Głośniejszy od Krauthammera neokonserwatysta, Robert Kagan, także widzi USA jako hegemonia zdolnego zapanować nad światem. Pogląd ten przedstawia ostatnio w kontekście konfliktu wizji politycznych dzielących Amerykę i Europę⁷. Krótko: Europa jest słaba i najpewniej taką chce pozostać, Ameryka jest potężna; skoncentrowana na sobie Europa nie jest w stanie ograniczyć swobody działania Ameryki. *Czy USA jest w stanie przygotować się i zareagować na strategiczne wyzwania na całym świecie bez wielkiej pomocy ze strony Europy? Prosta odpowiedź brzmi tak, jest gotowa już teraz.* Ameryka powinna szanować Europę i jej spuściznę, i postępować po swojemu, Europa powinna uznać amerykańską hegemonię za *akceptowalną cenę za stworzenie jej rajy*.

Kagan jest autorem błyskotliwym, pisze więc efektownie, uzasadnia nieraz swe tezy ciekawymi przykładami, ale niekiedy tak upraszcza, że powinna mu być przyznana raczej licentia poetica niż licentia docendi. Amerykanie, kiedyś słabi, izolowali się od świata i odwoływali do dorobku Oświecenia, za jego mając się dzieci. W owym okresie polityka Europy miała za swą podstawę myśl Hobbesa. Dziś myślą Hobbesa przejmują się potężni Amerykanie, Europejczycy przypomnieli sobie po okropieństwach wieku XX własną spuściznę oświeceniową, odwołują się do filozofów i fizjokratów, nade wszystko zaś do Kanta i jego marzenia o wiecznym pokoju. I to Amerykanie rozwiązali dla Europejczyków kantowski paradoks: jak zachować jednocześnie wieczny pokój i wolność, przede wszystkim wolność od despotyzmu, w który niejako musi ześlizgnąć się każdy system zdolny do skutecznej obrony pokoju. Po prostu, Europa nie musi bronić pokoju, bo jest w stanie uczynić to za nią Ameryka. Może tedy Europa pławić się w swojej posthistorii. Kagan jest przy tym przekonany, że Amerykę stać na rolę żandarma świata także w sensie czysto ekonomicznym. Mógł mieć rację prof. Paul Kennedy, gdy pod koniec lat 80-tych zaczął ostrzegać Amerykę przed „nadmiernym rozciągnięciem imperium”⁸, ale nie ma jej teraz. Wtedy USA wydawały na zbrojenia około 7% swego PKB, potem jednak wydatki te spadły do 3%, a teraz, gdy wydatki te mogą sięgnąć sumy mniej więcej 500 miliardów dolarów, będzie to oznaczało obciążenie rządu 4% PKB.

Zejsście na ziemię

Przyczyna, dla której tyle miejsca poświęciłem Krauthammerowi i Kaganowi jest prosta – takie głosy współkształtują obecną politykę zagraniczną USA i dobrze też współbrzmia z doktryną polityczną ogłoszoną przez Biały Dom we wrześniu roku 2002⁹ (odwołując się dalej do tego dokumentu będę go oznaczał skrótem NSS).

Szczególnie nieznośny i niebezpieczny jest nieuzasadniony triumfalizm neokonserwatystów, płynący z rzekomej omnipotencji USA. Nie ma w nim miejsca na głębszą refleksję nad pozycją Ameryki w świecie i poważną analizę sieci powiązań hegemonia z resztą świata, choćby na zauważenie, że w istocie mamy tu i sieć powiązań geopolitycznych, i sieć geoeconomiczną, oraz że między tymi sieciami istnieje specyficzne napięcie, jeśli nie konflikt¹⁰. Ale, powiedzmy, owe sieci można dostrzec dopiero na wysokim szczeblu abstrakcji. A konkretnie, jak nie zacząć od prostej konstatacji prof. Brzezińskiego z nru 74 (zima 2003/2004) „The National Interest”:

Ameryka może mieć przewagę, ale Ameryka nie jest omnipotentna. Jedynie przez dopracowanie się razem z jej najważniejszymi sprzymierzeńcami spójnej strategii może Ameryka uniknąć pogrążenia się w kłopotach i osamotnienia na ruchomych piaskach hegemonii.

Profesor Jack Snyder z Uniwersytetu Columbia analizuje w numerze 71 „The National Interest” imperialne mity, przez imperium rozumiejąc mocarstwo, które stosuje siłę do poszerzenia swej strefy wpływów i w stosowaniu tej siły przekracza próg, powyżej którego koszty ekspansji zaczynają szybko wzrastać. Z mitów przeanalizowanych przez Snydera wymienię parę. Oczywiście, w jakimś sensie rolę podstawową pełni mit szerzenia demokracji, wolności i dobrobytu. Dokument NSS jest tego typu hasel pełen. Stwierdza się tam, że potęga militarna Stanów Zjednoczonych, *która nie ma sobie równej stwarza okazję do rozprzestrzenienia dobrodziejstw wolności na cały świat*. Jak przypomina Snyder, John Foster Dulles, dziesięć lat przed zostaniem sekretarzem stanu, pisał, że każde imperium potrzebuje poczucia misji, i że co najmniej w takim samym stopniu dotyczy to Amerykanów, jeśli mają poprzec imperialne działania swej ojczyzny. Wmawia się więc dziś Amerykanom, że szerzenie *Pax Americana* jest ich powołaniem i dzielnym obowiązkiem.

Dokument NSS powiada: *naszą najlepszą obroną jest atak*. Autorzy dokumentu (i prominentni neokonserwatyści) wierzą zatem w mit przewagi atakującego, pisze Snyder. A przecież, kontynuuje politolog, *odstraszenie dowolnego kraju od ataku jest niemal zawsze łatwiejsze od zmuszenia go do rozbrojenia, oddania swego terytorium, czy zmiany panującego w nim reżimu*. Potwierdza to historia i jest to prawda zwłaszcza w dobie broni masowej zagłady. Trudno np. wyobrazić sobie, by Korea Północna dokonała sama nuklearnego ataku na Koreę Południową. Łatwiej wyobrazić sobie taki kontratak w przypadku amerykańskiej inwazji na Koreę Północną. Uleganiem innemu mitowi jest bezkrytyczna pochwała uprzedzającego ataku jako środka, mającego zapobiec niekorzystnej zmianie układu sił w jakimś regionie świata. Pomijając odwołanie się do odleglejszej historii, co Snyder także czyni, przypomnę za nim jedynie przykład wojny w Zatoce Perskiej w roku 1991. Bush senior, odpowiadając na atak iracki na Kuwejt, umiał skupić wokół Ameryki wielką plejadę sprzymierzeńców, potem zaś, właśnie by zachować starą równowagę sił w regionie i nie zrazić do siebie świata, zrezygnował z usunięcia Husajna z Bagdadu. Bush junior Husajna „uprzedzająco” usunął, ulżył doli Irakijczyków, ale krajowi, którego jest prezydentem, naważył zgoła kosztownego piwa, wiele aliansów trzeba teraz z mozołem odbudowywać, zaś do trwałej stabilizacji regionu jest co najmniej tak samo daleko, jak było rok temu. Pisze Snyder: *Zwłaszcza, gdy niekorzystna zmiana układu sił jest tylko hipotetyczna i nie jest rzeczywiście zagrażająca, trudno znaleźć zalety dyplomatycznych szkód, jakie uprzedzający atak przynosi*.

Z kolei mit „papierowego tygrysa”, jak go nazywa Snyder, bazuje na wewnętrznej sprzeczności. W przypadku Iraku mit ten orzekał, że Husajna nie da się nijak powstrzymać, że prędzej czy później użyje broni masowej zagłady, chociaż nie widać było, dlaczego miałby dyktator tej broni użyć. Gdy więc jeszcze przed inwazją zwrócono Rumsfeldowi uwagę na niebezpieczeństwo zaatakowania Iraku, ten odpowiedział, że *znajdą się w Iraku mądrzy ludzie, którzy nie wykonają rozkazów Husajna*. Czyli iracki

tygrys jest nie do zastraszenia, ale w ostatecznym rozrachunku jest tygrysem papierowym.

„Mit zwycięzcy” ma swój początek w dokumencie NSS: *Dzięki naszej gotowości do użycia siły w obronie własnej i obronie innych, Stany Zjednoczone pokazują swoje zdecydowanie, by utrzymać równowagę sił promującą wolność*. Wyjaśnia Snyder: *Należy sądzić, iż to orwellowskie stwierdzenie oznacza w rzeczywistości tyle, że uprzedzająca wojna przyniesie zwycięzcy poparcie, które zrodzi nie-równowagę sił, korzystną dla Ameryki*. Administracja amerykańska dokonuje tu „przenicowania” pojęcia równowagi sił – Amerykanie zmieniają układ sił na swoją korzyść, inni widząc ich zwycięski pochód udzielają im poparcia i w konsekwencji otrzymujemy to, co administracja USA nazywa równowagą sił. Rosjanie, pisze prof. Snyder, uważali, że podobnie rozrastać się będzie blok komunistyczny – rosyjskie demonstracje siły w postaci blokady Berlina, Kuby oraz działań w krajach postkolonialnych miały zachęcić inne „siły postępu” do wiązania się z komunistycznym hegemonem i tym sposobem miały zmieniać równowagę sił na jego korzyść. Jednym słowem Związek Sowiecki wybrał strategię unilateralną, na co reszta świata się zgodzić nie mogła. Rosja nigdy nie była tak potężna jak USA, skąd znowu, ale czy USA naprawdę stać na unilateralizm?

Wspomniany już Zbigniew Brzeziński, David Calleo, Christopher Lane, Richard Rosekrance, Niall Ferguson i Laurence Kotlikoff (ci wszyscy na łamach „The National Interest”), Fareed Zakaria (krytykujący na łamach „Newsweeka” ideę *aroganckiego imperium*), Paul Kennedy (m.in. na łamach „Rzeczpospolitej”) mają co najmniej wątpliwości. Inni, np. Kenneth Pollack w „Foreign Affairs” czy Henry Kissinger także na łamach „Rzeczpospolitej”, skupiają się nie tyle na ogólnym problemie amerykańskiego neoimperializmu, co na szczegółowych analizach jak powinna wyglądać polityka zagraniczna USA w różnych regionach świata. Ich analizy są jak najdalsze od unilateralizmu, na przykład kierując się ku badaniu możliwości wspomożenia przez Zachód i Wschodnią Azję powolnej budowy porozumień stabilizujących region Zatoki Perskiej, Iranu i basenu Morza Kaspijskiego, nie pomijając oczywiście problemu Izraela i Palestyny¹¹.

David Calleo, profesor Uniwersytetu Johna Hopkinsa, pisze na kanwie recenzowania książki Kagana. Wyraża wdzięczność Kaganowi za szczerze i nader wyraziste opisanie stanowiska neokonserwatystów, ale stanowisko to uważa za z gruntu błędne, podobnie jak np. zredukowanie źródeł współczesnej polityki europejskiej do Kanta teorii pokoju. Oto ostatnie zdania artykułu: *Triumfalna dziś Ameryka ma zbyt wielką siłę i myśli, że ma zbyt wiele cnót. Chyba nadszedł czas na więcej mądrości – raczej czas na przywołanie Minerwy niż Marsa i Wenus*. (Według Kagana Mars to dzisiaj bóg Ameryki, a Wenus to bogini Europy.)

Europa jest słaba, wydaje zbyt mało na zbrojenia, twierdzi Kagan. Czy rzeczywiście, pyta Calleo. Trzy mocarstwa europejskie wydały w roku 2002 około 90 miliardów dolarów, USA około 350. W przeliczeniu na jednego mieszkańca, albo odnosząc te liczby do produktu krajowego brutto, trzy mocarstwa wydają mniej więcej dwa razy mniej pieniędzy na armię niż Ameryka. Ale 90 miliardów dolarów to więcej niż na zbrojenia

wydaje Rosja albo Chiny, albo Japonia (odpowiednio 64, 46 i 39,5 miliarda dolarów). Czy więc to każdy kraj świata wydaje za mało, czy Ameryka wydaje za dużo?

Ale to jeszcze nie cały problem Ameryki. Federalny deficyt handlowy to około 500 miliardów dolarów, deficyt budżetowy osiągnie w roku 2004 podobną wysokość, Irak kosztuje coraz więcej, a gdy poważnie potraktować enuncjacje dokumentu NSS (możliwość kolejnych wojen, możliwość zerwania z Europą), to trzeba postawić pytanie – i tak czyni Calleo – *czy globalna agenda neokonserwatywna jest możliwa do utrzymania. [...] Stwierdzenie, że dana polityka prowadzi do ruiny nie oznacza, iż jest to polityka, która nie będzie kontynuowana. Ale utrzymanie obciążeń implikowanych przez geopolityczną doktrynę Busha pociągnie za sobą radykalną zmianę kultury politycznej kraju, nie wyłączając konieczności zbudowania państwa bardziej autorytarnego, niż do tego Amerykanie przywykli.*

Calleo nie pozostawia wątpliwości, że obawia się nadmiernego rozciągnięcia imperium. Niall Ferguson i Laurence Kotlikoff („The National Interest nr 73) obawiają się, że nim warto będzie mówić o rozroście imperium, a co dopiero tym rozrostem martwić, Ameryka musi uporządkować ekonomiczny bałagan w domu. Jeśli tego nie zrobi, wpadnie w kłopoty i bez żadnych ambicji imperialnych. Chodzi im o nadmiernie rozbuchane programy socjalne (sic!).

Piszą, że w lecie 2003 r. Jagadeesh Gokhale i Kent Smetters, eksperci ekonomiczni Departamentu Skarbu, opublikowali wyniki obliczeń dotyczących zdolności amerykańskiego państwa do wypełnienia swych zobowiązań wobec obywateli. Te zobowiązania to emerytury i renty oraz świadczenia zdrowotne wobec ludzi powyżej 65-tego roku życia (tzw. plan *Medicare*), plus koszt spłacania pożyczek, jakie państwo musi zaciągać, żeby wypełniać swe zobowiązania. Po pierwsze ekonomiści oszacowali obecną wartość wszystkich zobowiązań, jakie państwo wzięło na siebie do dnia dzisiejszego. Po drugie oszacowali obecną wartość wszystkich przyszłych zysków, jakie państwo będzie mogło przeznaczyć na wypełnienie tych zobowiązań. I po trzecie porównali obydwie liczby. Okazało się, że pierwsza liczba jest o 45 bilionów dolarów większa od drugiej (dla porównania, jest to mniej więcej czterokrotna wartość amerykańskiego produktu krajowego brutto). A jakie są możliwości uzyskania tych brakujących 45 bilionów przez państwo? Odpowiadają Gokhale i Smetters: można by na przykład od dziś podnieść podatek dochodowy od obywateli i firm o 69%, albo mocą ustawy zredukować wydatki na emerytury i renty oraz na plan *Medicare* o 56%. Ferguson i Kotlikoff proponują wyjścia łatwiej strawne dla społeczeństwa, ale też drastyczne.

Warto wspomnieć, że Ferguson, naukowiec z Oksfordu i profesor uniwersytetu w Nowym Jorku, jak na oksfordczyka przystało, chciałby widzieć w Ameryce imperium wypełniające próżnię po wiktoriańskim imperium brytyjskim i pozostałych imperiach europejskich. Dał temu wyraz w swojej książce o imperium brytyjskim¹². Uważa, że okres postimperialny przyniósł niebezpieczne dziś napięcie między niesłychanym rozwojem ekonomicznym Północy oraz politycznie rozdrobnionymi i dramatycznie ubogimi (często zubożałymi w drugim półwieczu wieku XX) regionami postkolonialnymi. Elementy ładu politycznego i sprawiedliwszy przepływ kapitału

mogłoby zapewnić jego zdaniem imperium. Ale też już w zakończeniu swojej książki wyraził wątpliwość, czy Ameryka – jedyna potęga mogąca unieść ciężar bycia imperium -- zdolna jest do podjęcia się tej roli i czy jej społeczeństwo ma na to najmniejszą ochotę. Gdy o sferę ekonomiczną chodzi, zwrócił uwagę, że Ameryka zamiast być eksporterem jest importerem kapitału. Zauważył też, że emigracji rodowitych Amerykanów na peryferia imperium nie widać, zaś amerykańskie zaangażowanie w trwałe uporządkowanie sytuacji na Haiti i później w Kosowie oraz Afganistanie było i jest dalece zbyt słabe, by można było mówić o zaangażowaniu na miarę imperium (Irak jest w tej materii nadal niewiadomą).

Debata nad amerykańskim samookreśleniem się trwa. Z całą pewnością administracja i jej neokonserwatywne zaplecze intelektualne ani nie potrafi dać przekonującego uzasadnienia swych działań, ani przekonać do swej doktryny geopolitycznej. Często cytowany przeze mnie, także w dalszym ciągu tego odcinka, Paul Craig Roberts widzi w strategii neokonserwatystów objawy jakobinizmu. Systematyczny i przekonujący wykład, który uzasadnia taki pogląd, dał w styczniowym numerze dwutygodnika „The American Conservative” prof. Claes Ryn, znakomity historyk idei z Katolickiego Uniwersytetu w Waszyngtonie¹³.

Amerykańska hegemonia nad Europą

Napięte dziś stosunki między Ameryką i Europą są oczywistą konsekwencją hegemonistycznej i unilateralnej polityki tej pierwszej, jak się wydaje już nie do przyjęcia dla tej drugiej. Wedle utartej opinii, XX-wieczne USA interweniowały w Europie wtedy tylko, gdy zagrożona była równowaga sił europejskich. Nigdy nie chodziło o amerykańską hegemonię w Europie. Przeciwnie, w przypadku obydwu wojen światowych, Ameryka interweniowała jedynie po to, by nie dopuścić do hegemonii niemieckiej. Z kolei, po drugiej wojnie światowej chodziło o powstrzymanie Związku Sowieckiego. Dlatego to, pisze w numerze 72 (lato 2003) „The National Interest” Christopher Lane (obecnie z Instytutu Katona), wycofanie się USA z Europy jest np. według prof. Johna Mearsheimera sprawą niedalekiej przyszłości.

Problem w tym, twierdzi Lane, że *pogląd ten nie ma potwierdzenia w faktach*. Gdyby był słuszny, Amerykanie opuściliby Europę najpóźniej na początku lat 90-tych, nie mówiąc o tym, że NATO uległoby stopniowemu uwiądowi, a nie rozszerzeniu. Tymczasem, gdy padał mur berliński – przypomina Lane -- administracja prezydenta Busha seniora potwierdziła swoje zaangażowanie w Europie w roli głównego gracza na tej scenie politycznej (np. w książce z roku 1995 przyznali to Zelikow i Rice, wysocy urzędnicy administracji seniora, dziś doradzający Buszowi juniorowi – pierwszy miał nieformalny udział w powstawaniu dokumentu NSS¹⁴, natomiast Condolezzy Rice przedstawiać nie trzeba). Pani Madeleine Albright, sekretarz stanu w rządzie prezydenta Clintona – pisze Lane – sparafrazowała Woltera uwagę o Bogu stwierdzając: *Jest oczywiste, że gdyby nie było dzisiaj instytucji takiej jak NATO, to trzeba byłoby ją stworzyć*. Inny przedstawiciel administracji Departamentu Stanu przyznał natomiast, że NATO musiało zostać

ożywione po zakończeniu zimnej wojny, ponieważ amerykańskie interesy w Europie *wykraczały* poza konieczność zapobieżenia zagrożeniu rosyjskiemu.

Lane przywołuje głosy najbardziej wpływowych polityków amerykańskich, od Kennana, Harrimana, Achesona i jego zastępcy Lovetta po Dullesa i Ruska, na dowód następującej tezy: ze względów ekonomicznych Ameryka potrzebowała gospodarczo rozwiniętej Europy, potrzebowała *zespoleń przestarzałej struktury małych rynków krajowych [Europy] w zintegrowany i wystarczająco duży rynek, który mógłby przynieść efektywność i właściwą skalę przedsięwzięciom ekonomicznym* (w istocie taki był ton argumentacji Kennana adresowanej do sekretarza stanu Marshalla); integracja ekonomiczna miała zarazem odbudować europejską pewność siebie i przekonanie o zdolności do przeciwstawienia się naciskom z zewnątrz bez konieczności integracji politycznej; tej ostatniej Ameryka nie chciała, uważając, że droga do niej znowu mogłaby wieść przez konflikt francusko-niemiecki aż do odrodzenia się nacjonalizmów i europejskiego militarysty. Jeszcze w połowie lat 60-tych były już sekretarz stanu Acheson stwierdzał, że *NATO jest nie tylko wspólną strukturą militarną zorientowaną na obronę przed agresją, ale także organizacją polityczną zdolną utrzymać pokój w Europie*.

Wspólnota Atlantycka miała za cel zachowanie dominacji amerykańskiej oraz politycznego rozdrobnienia zachodniej Europy, pisze Lane. Bezpośrednio po II wojnie światowej amerykańscy stratedzy usprawiedliwiali swą politykę „ciemną stroną” Europy – wspomnianą już obawą przed odrodzeniem się europejskiego militarysty i międzynarodowych konfliktów. Ale też cały czas hegemonia nad Europą odpowiadała ich interesom i nie mieli zamiaru z niej zrezygnować. I od czasu Monneta oraz Schumana, Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali, Europejczycy chcieli się temu amerykańskiemu planowi sprzeciwić, dowodzi Lane. Nawet Brytyjczycy, upokorzeni przez Eisenhowera w dobie kryzysu sueskiego w roku 1956 pomyśleli o ożywieniu idei „trzeciej siły”, istniejącej obok Rosji i USA. Przypomina Lane: kiedy Anthony Eden odwołał pod naciskiem USA angielsko-francuską inwazję na Suez i poinformował o tym telefonicznie Guy Molleta, a działo się to podczas spotkania tego ostatniego z Konradem Adenauem, niemiecki kanclerz powiedział uspokajająco: *Cóż, nadszedł czas stworzenia Europy*. Charles de Gaulle uznał już w 1962 roku, gdy Rosjanie wyszli pokonani z kryzysu kubańskiego, że świat stał się *jednobiegunowy*, czyli zdominowany przez USA. I wtedy to rozpoczął się francuski program zbrojeń atomowych. Amerykanom nie udało się powstrzymać Francji, ale z powodzeniem – wspomina Lane – wyrwali zęby paktowi francusko-niemieckiemu z roku 1963. Niemcy otrzymali propozycję nie do odrzucenia: albo cofną się Niemcy, albo USA wycofa swój parasol ochronny znad Niemiec.

W chwili powstania NATO w roku 1949 pierwszy sekretarz generalny paktu, lord Ismay, przedstawił cel organizacji w prostych słowach: *utrzymać Rosjan poza, Amerykanów wewnątrz, zaś Niemców w ryzach*¹⁵.

A jak jest dziś, pyta Lane, i widzi kontynuację polityki USA wobec Europy. Amerykanie nadal starają się nie tylko „trzymać Niemców w ryzach”, ale tę samą taktykę stosują wobec Francuzów. Dlatego byli i są za rozszerzeniem NATO i Unii Europejskiej, pewni że ich nowi członkowie pomogą USA trzymać w ryzach „starą Europę”. Czas pokaże, jak

potoczają się dalsze losy tej rywalizacji, ale światowy hegemon zdaje się zapominać, że nie jest to rok 1963, że zachodnia Europa jest nieporównanie bezpieczniejsza, a koszty hegemonii będą coraz większe. Efekty nadmiernych ambicji imperialnych, możliwość kolejnych wojen z dala od Ameryki oraz widmo kryzysu ekonomicznego w Ameryce, zachęcają – pisze Lane – do montowania koalicji antyamerykańskiej. Francja i Niemcy rozmawiają z Rosją i Chinami, nie przypadkiem też minister Dominique de Villepin znalazł się w Iranie już kilka dni po upadku Bagdadu. Niewykluczone, że *administracja Busha zostanie zapamiętana nie jako ta, która pokonała Bagdad, lecz jako stymulator układów równoważących amerykańską hegemonię.*¹⁶

Zmiany na amerykańskim rynku pracy

Coraz większy udział młodzieży nieamerykańskiego pochodzenia w populacji studentów uczelni USA nie ma dziś wiele wspólnego z imperium rozumianym w kategoriach geopolitycznych. Jest to jeden z aspektów procesu stymulowanego przez w istocie ponadnarodowe imperium geoeconomiczne.

W ciągu pierwszych dwóch lat (z małym okładem) rządów prezydenta Busha juniora, amerykański sektor prywatny stracił 2,6 miliona stanowisk pracy. Choć może trudno w to uwierzyć, w niemałym procencie chodzi tu o wysokopłatne prace w najbardziej nowoczesnych zawodach. Według prestiżowego Instytutu Inżynierów Elektryków i Elektroników (IEEE), w latach 2001-2002 straciło pracę 241 tysięcy inżynierów wymienionych zawodów. Do tego należy dodać, według tego samego instytutu, 175 tysięcy stanowisk inżynierskich i technicznych w dziedzinie informatyki i analizy systemowej.

Rok temu „Business Week” donosił, że wielkie koncerny – kiedyś amerykańskie – przenoszą stanowiska pracy wymagające wysokich kwalifikacji do Indii, Chin, Indonezji i na Filipiny. Na przedmieściach indyjskich miast największe firmy -- Texas Instruments, Bank of America, Hewlett Packard, Microsoft, IBM, Intel, Dell Computer, Eastman Kodak, Procter & Gamble itd., itp. – zbudowały parki nowych technologii, gdzie Hindusi wykonują prace, które jeszcze cztery lata temu wykonywali Amerykanie. W indyjskim Bangalurze hinduscy radiologowie odczytują obrazy tomografii komputerowej dla Massachusetts General Hospital, inni Hindusi przetwarzają dane amerykańskich firm ubezpieczeniowych. W latach 2003-2005 Microsoft planuje wydać w Indiach i Chinach 1,15 miliarda dolarów. Jedna trzecia chińskich programistów zatrudnionych w pekińskim oddziale firmy zdobyła doktoraty w USA (nie bez pomocy amerykańskiego podatnika). Filipińczycy przygotowują dla koncernu Procter & Gamble materiały do audytów w USA oraz dla amerykańskiej izby skarbowej.

Przyczyna przenoszenia miejsc pracy z USA do Azji jest prosta – hinduski inżynier informatyk zaczyna pracę w Indiach od pensji wynoszącej zaledwie 5 000 dolarów rocznie, a jest w Indiach tych inżynierów 520 tysięcy. Ponadnarodowe koncerny są bezwzględne, od dawna alarmują Paul Craig Roberts i Phyllis Schlafly. Nadużywając prawa wykorzystują specjalne amerykańskie programy wizowe, by zatrudnić w USA

obcokrajowców¹⁷. Korzyść jest podwójna – obcokrajowca można zatrudnić za niższą pensję w USA, a w przyszłości wielu z nich skierować z powrotem do kraju pochodzenia i tam mieć w nim instruktora, pomagającego miejscowym inżynierom dostosować się do pracy w supernowoczesnym koncernie. Nota bene, znane także są w USA przypadki, gdy pozbawiany pracy amerykański inżynier otrzymuje wypowiedzenie z parotygodniowym wyprzedzeniem i ostatnie dni w firmie spędza na szkoleniu swego świeżo przybyłego zza morza następcy.

Wszyscy zapewne pamiętamy jak przewidywano, że zmniejszanie liczby miejsc pracy w tradycyjnych przemysłach zostanie zrekompensowane nowymi stanowiskami w sektorze usług i w dziedzinach związanych z nowoczesnymi technologiami, zwłaszcza z informatyką (czy – jak się dziś mówi – z naukami informacyjnymi). Wiele wskazywało, że tak się będzie rzeczywiście działo, ale sytuacja jest jednak inna – ponadnarodowe koncerny eksportują pracę z USA i importują do USA produkty wytworzone przez tę pracę. Koncerny się bogacą, natomiast Amerykanie muszą zbiednieć i będą biednieć tak długo, aż nasyci się przeogromny rynek pracy wysoko kwalifikowanej w Indiach, Chinach i gdzie indziej. To między innymi dlatego, pisze Roberts, Ameryka ma deficyt we handlu z Chinami sięgający 125 miliardów dolarów. Jest to niejako dług strukturalny, co paradoksalne, imperium nieledwie globalnego z mocarstwem z trzeciego świata. Zadłużenie takie jest niegroźne, póki świat opiera się na dolarze, ale i ten czas może się skończyć.

Mówić w tym kontekście o wolnym rynku i jego roli regulatora jest czystym nonsensem, powiada Roberts – jeden z architektów gospodarczego ożywienia USA w pierwszym okresie prezydentury Ronalda Reagana, kiedyś także bardzo liczący się komentator „Wall Street Journal” i „Business Week”, dziś naukowiec („senior research fellow”) Instytutu Hoovera. Wolny rynek zakłada wymianę handlową i podział w wytwarzaniu dóbr między różne kraje. W eksporcie pracy nie ma nic z wolnego handlu, pisze Roberts. Handel jest ruchem dwustronnym, tu natomiast mamy do czynienia z ruchem w jedną stronę, organizowanym przez wielki ponadnarodowy biznes. Opisanie tego konkretnie zdaje się być najlepszą ilustracją napięcia między geoekonomią i geopolityką.

¹ O problematyce tej wspominałem już w pierwszym odcinku naszego przeglądu (ARCANA 25/1999) oraz poświęciłem jej cały odcinek piąty (ARCANA 31/2000). I przy okazji jedna uwaga na inny temat -- to prawda, że w Ameryce zaczyna się już powoli rozkręcać maszyna wyborów prezydenckich, na razie na poziomie walki demokratycznych pretendentów o rolę kandydata Partii Demokratycznej na prezydenta, ale przedbiegom tym nie warto poświęcać uwagi. Wspomnę więc tylko, że wszyscy demokratyczni pretendenci są za utrzymaniem obecnego prawa do przerywania ciąży w USA, zaś przewodzący pod koniec stycznia stawce John Kerry chwali się, że jest najbardziej nieprzejednanym zwolennikiem zachowania tychże praw, nie wyłączając praktyki tzw. aborcji przez częściowe narodziny. Horror!

² Od lat uczący w Swarthmore College w Pensylwanii, kiedyś także profesor na Harvardzie i doradca centrów studiów strategicznych amerykańskiej marynarki wojennej, specjalista w dziedzinie polityki zagranicznej i obronnej.

³ W roku 1965 Kongres wydał Akt Imigracyjny, otwierający drogę do szerokiej imigracji do USA ze wszystkich zakątków ziemi. Tak rozpoczął się zupełnie nowy okres w dziejach napływu ludności do Ameryki. W poprzednim czterdziestolecium, od wcześniejszego Aktu Imigracyjnego z roku 1924, napływ imigrantów do USA był bardzo ograniczony. Ci, którzy przybyli tam jeszcze wcześniej, lub w stosunkowo

małych ilościach w latach 1924 -1965, prawie wyłącznie Europejczycy, podlegali swego rodzaju programowi asymilacyjnemu, któremu się zresztą chętnie poddawali i który się dobrze sprawdził. Po roku 1965 asymilacja imigrantów przeszła do historii.

⁴ Prof. Kurth jest świadom, że to ta właśnie ideologia stała się jednym z fundamentów Aktu Imigracyjnego z roku 1965 i że to ona wyznaczyła koniec epoki asymilowania się nowych mniejszości narodowych w USA. Gdy zaś chodzi o Europę, ciekawy jest sposób, w jaki patrzy na jej lata 1945 – 1960 (sposób ten wart jest cytatu, bo ułatwi zrozumienie konkluzji, jakimi Kurth kończy swój esej). Uważa Kurth mianowicie, że w roku 1945 najbardziej wizjonerscy politycy Europy postawili sobie zadanie takiej przebudowy starego kontynentu, by usunięte zostały przyczyny powstania wcześniejszych dyktatur totalitarnych, obydwu wojen światowych oraz Zagłady Żydów. Politycy ci, pisze, *promowali ponadnarodowe i paneuropejskie instytucje, oraz postnarodowe i postrasistowskie ideologie. Najnowszymi i najbardziej wymownymi wersjami tych ideologii są wielokulturowość i uniwersalne prawa człowieka. Dla usunięcia przyczyn Wielkiego Kryzysu z lat 30-tych promowali państwową interwencję w ekonomię oraz ekonomiczną integrację Europy. Aby usunąć przyczyny konfliktów klasowych oraz rewolucji komunistycznych, promowali państwową opiekuńczość i podniesienie poziomu życia klasy robotniczej do poziomu klasy średniej. Wzięte razem, te wielkie i udane projekty [...] stanowią najwspanialsze osiągnięcia cywilizacji europejskiej w drugiej połowie XX wieku.* Jedyny problem, jaki te „osiągnięcia” zrodziły, to zdaniem Kurtha powstanie popytu na ubogich imigrantów – *gastarbeiterów* – czyli uboczny skutek awansu społecznego obywateli mocarstw europejskich, którym się odechciało wykonywać prace brudne i niebezpieczne.

⁵ Tytuł ang. *The Unipolar Moment*.

⁶ Por. odcinek V tego przeglądu, ARCANA 31 (1/2000).

⁷ Por. Kagana artykuł *Power and Weakness*, „Policy Review” nr 131 (z czerwca 2002) oraz ostatnio wydana jego książka *Of Paradise and Power: America and Europe in the New World Order*.

⁸ Słynny termin P. Kennedy’ego, w oryginale „imperial overstretch”. Nota bene, wracając jeszcze na chwilę do Krauthammera, pozwolę sobie dodać, że ten minął się z prawdą, stwierdziwszy w omówionym wcześniej esej, że prof. Kennedy porzucił swój pogląd.

⁹ Patrz *The National Security Strategy of the United States of America*, <http://www.whitehouse.gov/nsc/nss.html>. Oczywiście dokument nie zawiera żadnych aluzji do Oświecenia, Kanta, posthistorii itp. intelektualnych wycieczek.

¹⁰ Por. fundamentalny tekst prof. Staniszkis, ARCANA 50 (2/2003).

¹¹ Nota bene także artykuł prof. Brzezińskiego jest w lwiej części taką analizą szczegółową. Ponieważ w tym odcinku nie mam miejsca na streszczanie postulowanych szczegółowych rozwiązań politycznych, do tekstu Brzezińskiego już nie wrócę.

¹² Niall Ferguson, *Empire: The Rise and Demise of the British World Order and the Lessons for Global Power*, Basic Books 2002.

¹³ Polecam lekturę tego krótkiego artykułu opublikowanego w „The American Conservative” z 19 stycznia 2004 w całości (<http://www.amconmag.com>).

¹⁴ Prof. Philip Zelikow przedstawił egzegezę dokumentu NSS w numerze 71 “The National Interest”. Z jej omówienia zrezygnowałem jednak, ponieważ autor używał tak często nowomowy, że zadanie przekroczyło moje siły.

¹⁵ W oryginale: *Keep Russians out, Americans in and Germans down*.

¹⁶ Richard Rosekrance, profesor nauk politycznych Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles, daje na łamach tego samego numeru „The National Interest” wyraz swemu optymizmowi, gdy chodzi o przyszłość sojuszu atlantyckiego, płynącemu z powojennej historii stosunków ekonomiczno-finansowych łączących obydwie kontynenty. Ameryka, pogrążona w finansowych tarapatkach, potrzebuje Europy jeszcze bardziej niż jej potrzebowała już nieraz, począwszy od końca lat sześćdziesiątych. Europa, pisze prof. Rosekrance, nigdy nie odmawiała współpracy na polu polityki finansowej, a gdy trzeba było, nie odmawiała także doraźnej pomocy, mając w tym swój długofalowy interes, zwłaszcza związany z pozostawieniem Ameryce roli żandarma świata (np. współpraca przy okazji odchodzenia USA od parytetu złota, hamowania inflacji dolara w latach 1978-79, obniżenia kursu dolara w połowie lat 80-tych, europejska pomoc po krachu na giełdzie w roku 1987). I ten wzajemny interes pomoże obydwu stronom zachować dobre stosunki, wierzy Rosekrance.

¹⁷ Program H1-B pozwala zatrudnić obcokrajowców reprezentujących zawód nie dość licznie reprezentowany w USA. I dlatego, twierdzi Roberts, parę lat temu dowiedzieliśmy się, że w USA rzekomo brakuje informatyków. Program L-1 pozwala zatrudnić obcokrajowców, którzy z zagranicznej filii firmy muszą zostać przeniesieni do jej siedziby amerykańskiej. Według „Business Week”, w ostatnich latach Amerykanie stracili w dobrze płatnych zawodach około 750 000 miejsc pracy na rzecz posiadaczy wiz obydwu rodzajów.